

## Grzegorz Ryś: Fra Angelico i brat Albert

Fra Angelico malował każdy obraz od nowa. Choć malował to samo, to każdy obraz inaczej. Wielki artysta. Ale zobaczcie, co mówi Adam Chmielowski: żeby być takim jak Fra Angelico, to trzeba iść do zakonu. Musisz iść do klasztoru, tam oczyścisz duszę, uświęcisz, zaczniesz malować. Ale tam, gdzie żyjesz, w tym Monachium, nie ma o czym gadać, tam się nie da. No i poszedł do Starej Wsi – pisze bp Grzegorz Ryś w książce „Brat Albert. Inspiracje”. Tekst przypominamy w związku z przypadającą dziś, 568. rocznicą śmierci Fra Angelico.

Ratuj się, bo zginiesz. Jak zostaniesz w tym świecie, to zginiesz. Ratuj się! On o tym pisze w ten sposób: „czy sztuce służąc, bogu też służyć można? Chrystus mówi, że dwom panom służyć nie można. Choć sztuka nie mamona, ale też nie Bóg; bożyszcze prędzej. Ja myślę, że służyć sztuce, to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo, chyba jak Fra Angelico sztukę i talent i myśli bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować; aleby trzeba na to, jak tamten, siebie oczyścić i uświęcić i do klasztoru wstąpić, bo na świecie to bardzo trudno o natchnienie do takich szczytnych tematów”. To jest niezwykle tekst. On mówi tak: jeśli być malarzem, to trzeba malować świętą sztukę.

On zna jednego takiego malarza – to Fra Angelico, malarz dominikanin. Są trochę podobni. Fra Angelico jest znany z tego, że namalował kilkadziesiąt wersji ukrzyżowania Chrystusa (ecce Homo!). Fra Angelico malował głównie sceny ukrzyżowania. Adamowi pasował bardzo dlatego, że każda ta scena jest bardzo indywidualna, każda jest inna. Fra Angelico malował każdy obraz od

nowa. Choć malował to samo, to każdy obraz inaczej. Wielki artysta. Ale zobaczcie, co mówi Adam Chmielowski: żeby być takim jak Fra Angelico, to trzeba iść do zakonu. Musisz iść do klasztoru, tam oczyścisz duszę, uświęcisz, zaczniesz malować. Ale tam, gdzie żyjesz, w tym Monachium, nie ma o czym gadać, tam się nie da. No i poszedł do Starej Wsi.

Myślę, że najważniejszym tekstem ze Starej Wsi jest list do pani Modrzejewskiej: „Droga Pani Heleno! [...]. Wesołą nowinę też posyłam [...] wstąpiłem do zakonu, za kilka dni dostanę suknię jezuicką, tę sławną czarną sukienkę, pod którą tyłu Świętych zwyciężało świat i siebie, a tyłu bohaterów krwią się oblało za Boga i wiarę. [...]. Już nie mogłem dłużej znosić tego złego życia, którym nas świat karmi, nie chciałem już dłużej tego ciężkiego łańcucha nosić. Świat, jak złodziej, wydziera co dzień i w każdej godzinie wszystko dobre z serca [...]. Dla tego wszystkiego wstępuję do zakonu; jeżeli duszę bym stracił, cóż by mi zostało? Słowacki, którego Pani tak bardzo lubi, mówi, że «talenta, są to w ręku szalonych latarnie, ze światłem idą topić się do rzeki». jakież to okropne, a jakże często prawdziwe”. On już teraz mówi o sobie; mówi: świat jest straszny. Świat nas ze wszystkiego okradnie. Świat zabiera wszystkie ideały. Życie w świecie to jest dźwiganie ciężkiego łańcucha. To jest niewolnictwo. Ja od tego świata uciekam. Adam ma bardzo wysoko postawiony ideał. Nie może nim żyć, bo żyje w świecie. Z drugiej strony jest przerażony tym, że ma talent. Ten cytat ze słowackiego jest straszny. Co to jest talent? Jest to latarnia, z którą człowiek idzie się utopić w rzece. „Sztuka i tylko sztuka, byle jej uśmiech albo cień uśmiechu, byle jedna róża z wianka bogini [...] gubi się w szalonej gonitwie rodzinę, moralność, ojczyznę, związek z Bogiem, gubi wszystko, co dodatnie i święte – lata uciekają, organizacja fizyczna niszczeje, a z nią i talent tak zwany – zostaje tylko rozpacz albo idiotyzm na dnie czaszki – poza tym śmierć [...]. Sztuka to tylko wyraz i nic innego, dzieła tej tak zwanej sztuki, są to zupełnie przyrodzone objawy naszej duszy, są to nasze własne dzieła i mówiąc po prostu, dobra jest rzecz, że je robimy, bo to naturalny sposób komunikacji i porozumienia się

między nami. Ale jeżeli w tych dziełach kłaniamy się sobie – a oddajemy wszystko na ofiarę, to, choć to się nazywa zwykle kultem dla sztuki, w istocie rzeczy jest tylko egoizmem zamaskowanym; ubóstwiać siebie samego – to przecież najgłupszy i najpodlejszy gatunek bałwochwalstwa...”. Więc uciekł. Znalazł się wreszcie w świecie, gdzie z tymi swoimi ideałami się zmieści. Teraz postawi sobie poprzeczkę i będzie do niej doskakiwał. Świat już go nie będzie niszczył. Już nie będzie oglądał tych artystów, których sztuka sponiewierała. Ma teraz takie poczucie, że jest jak Fra angelico, bo wstąpił do klasztoru, więc pisze do Modrzejewskiej, że teraz maluje coraz więcej, coraz lepiej. Teraz jest szczęśliwy, wreszcie się wyrwał ze złego świata i wreszcie zaczyna być prawdziwym artystą, bo maluje to, co jest z ducha bożego – święty, oczyszczony w środku.

I wszystko to aż do... jednego niedopałka, który znalazł w ogrodzie. Obiecał Panu Bogu, że się wyrzeknie bezwzględnie palenia tytoniu. To jest wciąż ta sama linia: chcę i chcę, będę coraz lepszy i lepszy. Świat jest do niczego, ale ja będę lepszy. Dla niego teraz symbolem tego, co go niewoli, tym ciężkim łańcuchem, są papierosy: palił i palił (jeszcze jak umierał, to palił). To był jego problem. Ale on – nie da rady?! Po co do tego klasztoru wstąpił? Nie da rady?! – to jest miejsce, gdzie da radę. Więc złożył ślub. A jednak go kiedyś skusiło. Zobaczywszy niespodzianie niedopałek, podniósł go gorączkowo i niemal w jednej chwili w siebie wchłonął. A wtenczas odezwał się silny wyrzut – coś ty zrobił? To ty tak dotrzymujesz obietnicy Panu Bogu? To musiało być niezłe palenie, takie ekspresowe – nic nie było ważne. A rekolekcje ignacjańskie – pierwszy tydzień i rozmyślanie o śmierci. I... poszło! Trzeba go było wywieźć do Lwowa na leczenie. I nastąpiły miesiące czegoś, co patrząc z boku nazwano melancholią. „To jest malarz, Adam Chmielowski, chory na melancholię” – tak o nim mówiono. Kiedyś znalazłem piękny tekst o melancholii w rekolekcjach dla siostr klarysek śp. ks. prof. Tischnera, w książce pt. *Miłość niemiłowana: Melancholia* „jest największym niebezpieczeństwem życia religijnego. Nawet większym, niż niejeden grzech.

Jest ona bowiem źródłem wielu rozmaitych grzechów. [...]. Jest ona chorobą woli. Dotknięty nią człowiek nie chce chcieć. A nawet więcej – on chce nie chcieć. [...]. Człowiek czuje, jakby stanął przed ścianą. Nie ma przed nim żadnej przyszłości. Jest tylko przeszłość. Nie ma nadziei, są wspomnienia. Do tego dołącza się świadomość jakiejś porażki. Człowiek czegoś chciał, nie wyszło i teraz już nie potrafi spróbować. [...]. Melancholia to choroba beznadziejności” [1]. To jest ten moment: półtora roku, jakie dopadło człowieka, który strasznie dużo chciał od swojej własnej natury. Miał bardzo wysoko postawiony ideał, kim może być jako człowiek, i zrobił dla tego ideału wszystko. Ale to jest taki czas w jego życiu, o którym ks. Konstanty Michalski mówi, że w Adamie „góruje natura nad łaską”. Wszystko było jego własne: sam, sam, sam. Jeszcze to i jeszcze to, i jeszcze to zrobię. Naraz te ideały runęły. Zrobił dla nich wszystko – odszedł ze świata, w którym czuł się świetnie, do którego aspirował; chciał być wśród malarzy, tam miał przyjaciół, to była jego rzeczywistość. Rzucił to wszystko. Poszedł do klasztoru z takim myśleniem: będę kimś. Zerwę kajdany, mnie sztuka nie skorumpuje, nie będę bałwochwalcą. i rozbił się... o papierosa. I miesiące bez nadziei. Człowiek tyle chciał i się sypnął. I to jest ten stan: nie ma przyszłości, jest tylko przeszłość. Była przeszłość, w której człowiek pracował ciężko, spalał się całkowicie, dla największych, jak mu się wydawało, wartości, no i się rozsypał. Co teraz można zrobić? I to jest największy przełom w życiu Adama Chmielowskiego.

O tych miesiącach on sam mówi: „Byłem przytomny, nie postradałem zmysłów (*on nie zwariował, to nie jest choroba psychiczna – G.R.*) – ale przechodziłem okropne męki i skrupuły i katusze najstraszniejsze” [2]. To jest ta jego melancholia, bo on został uwięziony w swojej przeszłości: z jednej strony wielkie pragnienia, z drugiej słabość, która z niego wyszła i której się kompletnie nie spodziewał. Po tych miesiącach przyjechał do jego brata, gdzie wówczas mieszkał, ksiądz Pogorzelski z sąsiedztwa. I wtedy, kiedy Adam siedział na ganku, ksiądz z bratem w pokoju przylegającym obok rozmawiali na głos o bożym miłosierdziu – o wiele głośniej, niż potrzeba. Na tyle głośno,

że Adam w nocy siadł na konia i pojechał do księdza na plebanie. Po kilku godzinach wrócił kompletnie innym człowiekiem. Tak się stało. to jest moment, w którym człowiek odkrywa łaskę. To jest nawrócenie Adamowe. Nawrócenie nie z tego, że był niegodziwy, bo był więcej niż godziwy. Robił w życiu więcej, niż niejeden uważa, że warto. Dawał z siebie więcej niż wszyscy jego koledzy artyści razem wzięci. Ale robił to wszystko sam i sam, i sam. Tej jednej nocy odkrył, co to znaczy miłosierdzie Boga. Gdyby tego nie przeszedł, to kiedy by się wyzbył tych osądów wobec świata? Taki człowiek, który nie mógł ścierpieć Matejki i Kraszewskiego, ludzi wielkiego ducha (podejrzał ich o wszystko), miałby później służyć pijakom, bezdomnym...? Bez osądu, bez potępiania? Bez podejrzliwości? Ze zrozumieniem dla słabości? Taki moralizator – że ci wszyscy to są chciwcy i łasi na sławę? Taki krytykant? Jak on w ogóle miałby wejść w charyzmat „albertyński”, gdyby nie odkrył, czym jest łaska? Łaska to jest coś, co przychodzi darmowo i przychodzi od razu. Bez żadnej zasługi. Półtora roku więzienia w swoich skrupułach, w swoim poczuciu beznadziejności, w tym, że rozwały się wszystkie ideały. Półtora roku takiego więzienia, przychodzi Chrystus i otwiera ci więzienie. To jest odkupienie. Jezus Chrystus, który zbawia. To jest przemiana w życiu. Wtedy Adam tak naprawdę stał się Bratem Albertem. To jest pięć lat przed tym, jak założył habit. Potem to już było tylko pięć lat przygotowania do tego, żeby przywdziać habit. Michalski mówi, że to był pięcioletni nowicjat. Dość długo. Decyzja zasadnicza wydarzyła się wtedy, kiedy odkrył, co to jest łaska, co to jest miłosierdzie Boga.

*Abp Grzegorz Ryś*

*Fragment pochodzi z książki „Brat Albert. Inspiracje”*

[1] Tischner J., *Miłość niemiłowana*, Kraków 1993, s. 23-24.

[2] Michalski K., *Brat Albert*, Kraków 1986, s. 49.